

Czarny ład z czerwoną ziemią

– 1

6 marca 2021

Ledwo wróciłem z Kaukazu, jeszcze się porządnie nie rozpakowałem, a tu nagle telefon. „Słuchaj, poleciałbyś do Republiki Środkowoafrykańskiej. Potrzebni są ludzie do misji obserwacyjnej, będą u nich wybory” – nie trzeba było mnie namawiać, niemal krzyknąłem w słuchawkę „LĘCĘ” i aż podskoczyłem z radości. „Jest pewien problem, po pierwsze: w kraju wojna domowa i okres świąteczny. Nie można nikogo namówić, może znasz kogoś z doświadczeniem w tego typu wyjazdach? Jeśli tak, to spróbuj zebrać ze trzech ludzi, aha jeszcze szczepienia przeciwko żółtej febrze i badania Covid PCR z tłumaczeniem na angielski, to dosyć kosztowne, ale na miejscu rozliczą wam delegację i zwrócą kasę”.

Oczywiście pierwszym do którego zadzwoniłem, był Grzesiek Waliński. Wiedziałem, że kocha Afrykę i jako były ambasador w Nigerii, pracownik UNESCO ma doświadczenie znacznie większe od mojego. Nie musiałem go długo przekonywać. Zgodził się równie szybko jak ja.

Gorzej było z pozostałymi, już trzeciej osoby – mimo wysiłków – nie udało się znaleźć, pomijam już, że niewielu odebrało ode mnie telefon. Skontaktowałem się też z Romanem, czeskim dziennikarzem pracującym w gazecie Halo Noviny. Poznaliśmy się na Kaukazie i znałem jego obycie w warunkach kraju ogarniętego wojną. Idealny kandydat – przeszło mi przez myśl.

Niestety, nie mógł – zobowiązania rodzinne, chociaż dało się wyczuć, że podobnie jak ja, rwał się do tego wyjazdu. Nie chciał też marnować okazji i zaangażował w poszukiwanie jakiegoś reportera – desperata, całą swoją redakcję.

Nie znaleźli nikogo, ich naczelny mocno przepraszał, tutaj też wyraźnie wyczuwałem żal, że się im nie udało nikogo namówić.

Trudno, lecimy we dwóch, w Paryżu mieliśmy się spotkać z Milenkiem, macedońskim dziennikarzem i znanym w swoim kraju youtuberem. Tak więc już z lotniska Charlesa de Gaullea miało być nas trzech.

Formalności, szczepienia i badania okazały się pierwszą przeszkodą. O wyjeździe dowiedziałem się niecały tydzień przed planowanym wylotem. Obdzwoniłem przychodnię medycyny podróży w całym województwie lubelskim – gdzie mieszkam. Znalazłem jedną, która miała ostatnią ampułkę. Lekarka namawiała mnie na kilka innych szczepień, ale w pośpiechu ją zbyłem. Zapłaciłem trzy stówy za zastrzyk, który zacznie działać dopiero po kilku dniach pobytu w Afryce.

Szczepionkę podała mi 18 grudnia, dwa dni po tym, gdy dowiedziałem się o wyjeździe. W „żółtej książeczce” napisała, że skuteczność jej znacznie się dopiero 28 grudnia. No ładnie – pomyślałem, bilety mamy na 21, w Afryce będziemy 22 i jeśli przy odprawie spojrzą na datę, to już leżę. Zwyczajnie mnie cofną.

Trudno, ryzyko zawodowe – powiedziałem sam do siebie i zacząłem szukać punktu, w którym zrobią mi badanie na Covid PCR, dokładnie takie same jakie robili mi, kilkanaście dni wcześniej gdy wylądowałem w Erewaniu.

Nie dawali jednak żadnego zaświadczenia, o wyniku informowali pocztą elektroniczną. Te badania i tak są ważne jedynie 72 godziny, więc niezależnie od tamtego wyniku, straciłyby już swoją graniczną wartość.

Znalazłem punkt gdzie robili te testy. Niestety drożej nawet niż szczepionka – niecałe pięćset złotych. Trudno, przy takim wyjeździe nie liczyły się już żadne koszty, miałem w głowie jedynie Afrykę. Nawet gdyby kosztowało to trzykrotnie więcej, sprzedałbym jeden z rewolwerów czarnoprochowych, których wciąż mam niezłą kolekcję. Byłem gotów sprzedać nawet Remingtona 1958 New Army z ośmiocalową lufą – słynna broń Bufflo Billa, o

której napisał, że walczył nim z Indianami, polował na bizona i nigdy go nie zawiódł.

Ta pasja jest pozornym zaprzeczeniem mojego pacyfizmu, ale jest to historia, której nie zamiętam pod dywan. Po prostu bardzo lubię strzelać. Nie chodzę na ryby, nie poluję, tylko taka pasja, pozostałość pierwotnych instynktów.

Nigdy jednak nie strzelałem do żywych celów. Ot, strzelnica, tarcze, puszki, a w lecie arbuzy.

Natychmiast też przegrzebałem wszelkie informacje o miejscu do którego lecę. Pierwszym źródłem był oczywiście Internet.

RSA, to niespełna pięćdziesięciomilionowy kraj wielkości Francji, wciśnięty gdzieś między Czadem, Kongiem, Kamerunem i Sudanem.

Mimo, że od lat toczy się tam wojna domowa, to światowe media niezbyt chętnie ją relacjonują. Być może więcej krwi tam spłynęło, niż wartość wszystkich podziemnych złóż? W głowie telepią się myśli.

Kraj, który zaledwie pięćdziesiąt lat temu wyzwolił się z francuskiej okupacji kolonialnej. Ale czy na pewno? Czy to tylko teoretycznie? Znalazłem informacje, że Francja wciąż usiłuje kreować ich politykę, choćby przez pomoc w ucieczce przed wściekłymi mieszkańcami i próbę ponownego wsadzenia na urząd prezydenta znienawidzonego generała Boziże. Zabrali go z Konga, gdy w ostatnim momencie wskoczył na łódź i przeprawił się na drugi brzeg rzeki Ubangi. Dostał dom i wszelkie prezydenckie apanaże w kraju niedawnych kolonialistów. Jedyną firmą, która eksploatuje tam ropę, również jest francuski koncern – Total.

Rzut okiem na mapę. W samym centrum suchego kontynentu, zielona wyspa, a mimo to mało kto w Polsce wie o istnieniu tego państwa.

Gdy mówiłem znajomym, że jadę do Republiki

Środkowoafrykańskiej, zwykle padało pytanie: „ale do której konkretnie?”.

Informuję więc, że kraj taki istnieje, nie jest może atrakcyjny turystycznie, bo żadnego oceanu, nawet dostępu do Morza Śródziemnego. Ot, ledwie kilka dziewiczych parków narodowych, dwie duże rzeki i lokalna wersja Katedry Notre-Dame. Oczywiście znacznie mniejsza, a ryzyko zwiedzania bez porównania wyższe.

Zamieszki praktycznie nie ustają, a lokalni przywódcy dżipowych bojówek spod każdej, najciemniejszej gwiazdy, nie szczędzą cywilnych mieszkańców. ONZ uznało kraj za upadły i w hierarchii bezpieczeństwa uplasowano niżej niż Somalię.

Ambicje i interesy miejscowych watażków nie rachują ilości przelanej krwi. Świat się tym specjalnie nie interesuje i nie reaguje – w tak niestabilnym regionie nie wiadomo z kim rozmawiać, wysłanie specjalistów by oszacowali zasoby jest zbyt ryzykowne. Tylko Francuzi wiedzą jak się tam bezpiecznie poruszać – i znowu refleksja, czy i w jakim stopniu wspierają rebelię? Może zależy im na takiej niestabilności i braku kontroli władz nad całym obszarem republiki.

Jadę tam, ponieważ 26 grudnia szykują się wybory zarówno prezydenckie i do Zgromadzenia Narodowego, czy coś to zmieni, czy wreszcie mieszkańcy będą mogli bez strachu wyjść na ulicę?

Część zobaczę na miejscu, a resztę czas pokaże. Z pewnością od razu wiele się tam nie zmieni.

Czytam i się zastanawiam.

Będę tam dosyć długo, bo aż do ósmego stycznia.

Ruszyliśmy z Warszawy do Paryża tuż po 14.00. We Francji cała noc czekania na przesiadkę i dopiero bezpośredni lot do stolicy tego afrykańskiego kraju – Bangui.

Noc na paryskim lotnisku była całkiem przyjemna. Weszliśmy do

strefy poza europejskiej, nie było odwrotu, nie dało się już wyskoczyć do miasta.

Ta część terminala opustoszała jeszcze przed północą, byliśmy we dwóch i jeszcze jakiś jeden facet – jak się okazało, już w RŚA, był to Milenko, nasz towarzysz z Macedonii. W wyludnionej hali kanapy do spania, ale i tak sen nie przychodził. Ekscytacja skutecznie go wyparła.

Łaziłem więc całą noc od jednej palarni do drugiej, czas zleciał dosyć szybko. O świcie samolot. Odprawa i pierwszy „opad szczęki”, Air France podstawilo wypasionego airbusa z czterema klasami – ekonomiczną, ekonomiczną premium, biznes i biznes premium, w której nawet mieli łóżka. Dokładnie takie same samoloty latają w etiopskich liniach, które już kupiła Lufthansa. Tego jeszcze nie wiedziałem, nie wiedziałem też, że ten sam standard, ale afrykańska załoga znacznie bardziej rozpieszczała pasażerów. Jedzenie naprawdę wyśmienite, każdy z pasażerów dostał kosmetyczkę wypełnioną przyborami toaletowymi, skarpetami i lekkimi – domowymi kapciami.

Jak w bajce, tylko drążąca myśl, by nie sprawdzili daty w „żółtej książeczce”, był 22 grudnia, jeszcze sześć dni do terminu od którego szczepienie zaczyna działać. Zbyt wyraźnie to napisała, przeklinam ją w duchu, gdyby tym lekarskim charakterem, jak na receptach, tak by nie dało się odczytać. Ale nie. Pięknie i wyraźnie wykaligrowała, że działanie od 28 grudnia. Nic nie dało się przerobić. Według lekarki wyjazd wcześniej to zbyt duże ryzyko, a według prawa, nie mogli mnie do tej Afryki wpuścić. Tylko tego się bałem.

Pomyślałem, że będę udawał idiotę, trochę liczyłem też, że nikt nie zwróci uwagi. I miałem rację. Podczas wszystkich lotów, granic, przesiadek – nikt nie chciał ode mnie żadnego zaświadczenia.

Wreszcie po wielogodzinnym locie, który niemal w całości przespałem, zeszliśmy trapem na płytę lotniska w Bangui.

Uderzenie gorąca i niesamowity zapach.

Lotnisko, to szumna nazwa kilkału, zbitych z desek, baraków wieże kontrolne przypominały myśliwskie ambony. Ale przede wszystkim powietrze. Jego aromat i ogromny skok temperatury.

Afryka pachnie, jest to niepowtarzalna, bardzo miła woń. Pierwszy raz byłem na tym kontynencie, mógłbym jednak wysiąść i z zawiązanymi oczami gdyby ktoś zapytał „gdzie jestem”, bez wahania odparłbym – Afryka.

Specyficzny zapach rozżarzonej, czerwonej ziemi pomieszany z aromatem lokalnej flory.

Na te charakterystyczną barwę, zwróciłem już uwagę, gdy samolot zniżył lot, zobaczyłem, że ziemia jest czerwona. Podobno dlatego, że jest w niej wysoki procent żelaza.

Na płycie „lotniska” – chociaż trudno nazwać to w ten sposób, trochę asfaltu i klepisko, gdy już wyszliśmy z samolotu, ludzie kierowali się do kontroli celnej w obskurnym baraku. Czekala na nas pracownica ministerstwa Afrykanka w odpowiednim, służbowym stroju. Wysoko nad głową, trzymała tabliczkę z naszymi nazwiskami.

Wyciągnęła nas z kolejki i zaprowadziła na parking. Zabrała kwitki od bagażu i paszporty, żeby załatwić wizy.

A my pojechaliśmy z kierowcą do hotelu. Całkiem ładny budynek, chociaż już widać było, że zaczynał brać go grzyb, farba się łuszczyła, a jak się później okazało, gdy zapominałem zostawić włączoną klimatyzację, to robił się potworny zaduch. Budynek nowy, zaledwie rok, a już wyglądał na wieloletnie użytkowanie.

Tam faktycznie, o czym mówił mi znajomy, bardzo szybko starzeją się domy. Myślałem, że to najlepszy hotel w mieście, bo standard wysoki i naprawdę czysto, a okazało się, że takich hoteli jest więcej.

Do naszego, na zarówno na basen jak i do restauracji mogli

przychodzić i często nawet bywali miejscowi. Na basenie wystarczyło wykupić niedrogi bilet i mogli pluskać się do woli. Ulga, poprawiło mi to bardzo nastrój, cholernie nie lubię popularnych dla turystów hoteli „nur fur” czyli „tylko dla”.

Oczywiście był w Bangui i taki, ale tam zatrzymywały się delegacje innych państw europejskich, my zasiedliliśmy ten, gdzie były reprezentacje kilku głównych organizacji afrykańskich – Unii Afrykańskiej i Wspólnoty Gospodarczej Państw Afryki Środkowej.

To już zupełnie mnie uradowało. Po porządnym odpoczynku, rankiem następnego dnia pojechaliśmy oglądać komisje wyborcze i poznawać zasady głosowania, gdy w pewnym momencie nasz przewodnik – Kameruńczyk, potem zresztą świetny kolega, odebrał telefon.

Szybko nas pozbierał, powiedział, że rebelianci zajęli część miasta i musimy uciekać. Zapytał mnie czy mam broń. Zrobiłem wielkie oczy, wytłumaczyłem, że jak mógłbym mieć wsiadając do samolotu i podczas wszystkich kontroli.

Podjechał najpierw do ogrodzonej murem i zasiekami twierdzy – w Bangui wszystko jest ogrodzone murem, zabrał Makarovy i pojechaliśmy do hotelu po rzeczy. Musieliśmy zabrać wszystko, bo nikt nie wiedział czy i kiedy tam wrócimy. Warunki polowe, trochę koszarowe, jak to w tego rodzaju prowizorycznych koszarach.

Chociaż „twierdza” to po prostu szumna nazwa większego budynku, w którym było dużo broni, amunicji i zasieki na murze.

Gdyby nie to, wyglądał jak zwykły, większy dom. Było kilka takich. Głównie urzędy czy ambasady. Nie wyglądały imponująco. Placówka kanadyjska, która była w samym centrum miasta, sprawiała wrażenie niechlujnej, zapuszczonej i częściowo obdartej z tynku budowli.

Czekaliśmy kilka godzin, szykując się na to, że zamiast hotelu resztę dni spędzimy w tych cywilnych koszarach. Każdemu z nas, niezależnie czy chciał, przyznano zapas bojowy, kilka granatów, karabin kałasznikowa, po cztery magazynki i po pistolecie Makarova. Wtedy padły słowa, jeśli wejdą, każdy musi radzić sobie sam. Kilkadziesiąt minut czekania w panice, nasłuchiwanie strzałów i uważnej obserwacji bramy.

Na szczęście, po kilku godzinach dotarła wiadomość, że wojsko opanowało sytuację, wyparli najeźdźców. A my wróciliśmy spokojnie do hotelu.

Kolejne dni, to poznawanie topografii, kandydatów, systemu wyborczego i spotkanie z głównym doradcą obecnego prezydenta i jednocześnie kandydata na to stanowisko, czyli Faustina Archangela Taudèry.

Minister Albert Yalokè Mopkème przyjął nas w swoim mieszkaniu. Dom nie wyróżniał się od innych w okolicy. Niewielki, parterowy budynek, bez żadnych oznak luksusu. Ogrodzony murem, zamiast drutów kolczastych na jego szczycie było rozłożone potłuczone szkło. Stojące butelki tzw: „tulipany” chroniły obejście przed napastnikami. Poza jednym człowiekiem, nie widziałem też ochrony, może byli w głębi domu. Tuż pod bramą, podobnie jak pod hotelem rozłożył się niewielki biedabazarek.

Tam każdą wolną przestrzeń natychmiast zajmują sprzedawcy „wszystkiego”. Już po kilku dniach pobytu znałem wielu handlarzy spod naszej, hotelowej bramy.

Kolejne dni zleciały na zwiedzaniu komisji, w dniu wyborów poleciliśmy we trzech, plus pilot małą, jednosilnikową cesną w odległe zakątki kraju. Samolot był fantastyczny, tak mnie zauroczył, że po kolejnym lądowaniu – oczywiście na klepisku, bo lotnisk jako takich było niewiele, a z asfaltowymi pasami nie widziałem żadnego. Postanowiłem pogadać z pilotem, czy nie pozwoliłby mi przez chwilę sterować tym powietrznym „motorowerem”. Jak się okazało, nie było problemu, młody

chłopak zgodził się bez namysłu. Szczęśliwy zaliczyłem pierwszy lot. Potem motocyklami, po trzech na jednym ruszyliśmy w dżunglę.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info